

W numerze

- E. BIAŁOBORSKI — Drugi księżyc krąży nad nami
- R. JOZKÓW — Refleksje po ostatnim koncercie
- K. B. — Kogo nie boli głowa?
- J. B. OZÓG — Pościg
- ST. GIEROWSKI — Joseph Conrad i jego „Ocalenie”

Nie trudno zgadnąć
W obiektywie tygodnia
Spocznij — można paść

NOWINY TYGODNIA

Nr 39 (383) — SOBOTA 12. X. 1957 r.

Dodatek społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich”

Tam gdzie powstała PIERWSZA DYWIZJA im. Tadeusza Kościuszki (Od specjalnego wysłannika)

Stacje Dziwówo pamiętają wszyscy ci, którzy jechali z różnych stron Związku Radzieckiego do polskiego wojska. Stacje — wyraziłam się zbyt szumnie. Stał tam rozwalony wagon i koło małej drewnianej budki — żołnierz w rogatywce z karabinem. To było wszystko, ale wystarczyło, żeby wychodzący z pociągu rzucali mu się na szyję. Regulamin zabraniał wprowadzić podobnych czulości i żołnierz mógł dostać za to parę dni paki, ale nikt o tym nie myślał. Tu zaczynał się przecież kawałek Polski.

Dzisiaj stacja Dziwówo — to dosyć duży biały murowany dom. Przed budynkiem klomb i popiersie Lenina. Nagle uświadomiłam sobie, że czegoś mi tu brak. I wtedy zobaczyłam z daleka małą budkę. Tak, to ta sama. Odetchnęłam z ulgą.

Z Dziwowa do obozu sieleckiego jest niedaleko, tylko trzeba się przeprawić przez Okę. „Płynię, płynię Oko, jak Wisła szeroka”, śpiewaliśmy wtedy. Dzisiaj doszłam do wniosku, że Oko jest ważną od Wisły pod Warszawą, ale wtemczas nie miało to dla nas żadnego znaczenia. Oko była Wisła.

A więc znowu po 14 latach płynęłam przez Okę na promie. Wtedy ciągnęłam line z całą siłą i werwą swych „nastu lat”, aby przełże znaleźć się w lesie sieleckim. Wsluchiwałam się w echo pieśni naszych żołnierzy, którzy wracali z ćwiczeń. Przedzi tam być, dostać mundur i móc zaśpiewać o Kasi, co wołki wyganiała. Teraz, kiedy jechałam przez Okę, nie wiedziałam, co będzie dalej. Nigdy nie wiadomo, jak wypadnie spotkanie po tylu latach. Szczególnie trudne jest spotkanie ze wspomnieniami.

Las sielecki w tej chwili jest zupełnie opustoszały. Tam, gdzie mieścił się sztab Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, urządzono letni obóz pionierów, ale teraz dzieci nie ma — wyjechały do szkół. Może to i lepiej, że nikogo nie było, łatwiej było odtworzyć tamten obraz sprzed lat. Oto plac, na którym odbywała się przysięga, tu stała trybuna, tedy przechodziliśmy.

Zaczeliśmy wspominać, posługując się terminologią sprzed 14 lat. Zdawało nam się, że jesteśmy jak dawniej

żołnierzami. I wtedy powiedziałam do kolegów — Ide do siebie, do trzeciego pułku. Mam wrażenie, że zdziwiliby się, gdybym powiedziała inaczej. Szłam sama przez opustoszały las. Tak, tu stały samochody, tu była stolówka. Nagle zobaczyłam spadzisty dach małego, białego domku. Tu mieścił się punkt sanitarny trzeciego pułku, gdzie instruktor radziecki major Łopoczkin usiłował z lekarskiej cywilbandy stworzyć lekarzy wojskowych. Tu naprzeciwko stał namiot, w którym co wieczór przy świetle „kopciłki” wiedziliśmy długie rozmowy. Tam wychodziliśmy na apel, tu stała moja menażka, której stan wzbudził zastrzeżenia do wódcy i z tego powodu trzeba było meldować się przez trzy dni. A tam dalej był teatr, przepraszam, estrada pod gołym niebem. Tu zaś była... Tak właśnie: była, było. Jedynym słowem — przeszłość. Nie, nie tylko przeszłość, ale i początek przyszłości.

Serdeczność i pamięć zawsze wruszają człowieka. Dlatego właśnie przez cały czas mego pobytu, a raczej podróży przez małe wioski położone nad Oką, tam, gdzie przed 14 laty formowały się jednostki Pierwszej Polskiej Armii, niejednokrotnie wilgotniały oczy.

Kiedy weszliśmy do domu Pieczonkinów we wsi Baturino i zamieniłam kilka słów po polsku ze swoimi kolegami, babcia Pieczonkina rozplakała się w głos. Tak samo mówił mój Franio. Nie wiecie, co się dzieje z Frankiem? I wyjaśniała: — Mój syn był również żołnierzem, ale poszedł na front i nikt się wtemczas zdawało, że Franio był moim synem. Zawsze pomógł mi w gospodarstwie, przyniósł wody. A ja cóż mogłam mu pomóc? Tylko tyle, że wyprałam, poprasowałam, nakarmiłam, normalna babska robota. A on zawsze mnie po rękach całował, dziękował. Potem i on pojechał na front. — I babcia Pieczonkina, ponna tradycji swego domu, zajęła się przygotowaniem dla nas poczęstunku. Na pożegnanie koleczy moi, obydważy byli żołnierze Dywizji im. Tadeusza Kościuszki serdecznie, ucałowali ręce babci Pieczonkiny.

Więcej takich przykładów nie będę przytaczała, chociaż policzyć ich można na kopy — boję się, że moja korespondencja byłaby zbyt żława. Postaram się bardziej operować suchymi faktami.

A więc, przewodniczący kolchozu „Kuzminkoje” opowiadał, jak przed 14 laty polscy żołnierze pomagali przy pracach w polu. Dyżurny mechanik elektrowni kuzminkijskiej pamięta, że u nich w domu mieszkał Polak, lekarz, który pięknie grał na fortepianie. Nie wie, co on grał, bo nie znał tych melodii. Tylko pamięta, że były bardzo rzewne. — Bardzo tęsknił, chyba za krajem — kończy opowiadanie mechanik. We wsi Wakino (obecnie kolchoz im. Thaelmanna) do dzisiejszego dnia mówi się o kimś, że mieszka w „polskim domu”. Gdy w 1943 roku spaliły się zabudowania w Wakinie, ludność zwróciła się do polskich żołnierzy z prośbą o pomoc. Wtedy nasi chłopcy wybudowali

trzy domy — „polskie domy”. Nazwa została, chociaż minęło 14 lat.

W czasie całej naszej podróży czuliśmy się trochę jak solenizanci. Wszędzie słyszeliśmy jedno i to samo: — Pamiętamy, a jakże, dobrych ludzi długo się wspomina. Charyzmatyczne rebiata.

A teraz jeszcze o Sielcach. Okazuje się, że tutejsi mieszkańcy absolutnie nie zdają sobie sprawy, jakie miejsce w historii Polski zajmuje dziś ich wieś. To, że nasze dzieci z podręczników historii dowiadują się o Sielcach, było dla nich wielką niepożądanką.

W dużej izbie zabrało się pełno ludzi, aby porozmawiać z nami i dowiedzieć się o swych znajomych, którzy u nich mieszkali. Padają liczne nazwiska. Nagle w tym całym rozgardiaszu ktoś zaczął śpiewać. Po chwili poczęły do mnie docierać poprzeręcane słowa: „Ja nie będę słyszał, ja nie będę słyszał”. Mikołaj Frołow miał wtedy 10 lat i z całej polskiej pieśni żołnierskiej zapamiętał tylko dwa zdania, natomiast melodia utkwiła mu mocno w pamięci. Pamięta poszczególne słowa polskie, nie rozumiejąc jednak ich znaczenia. Aha, jeszcze jedna rzecz. Przychodząc do pracy lub z wizytą, mieszkańcy Sielc witają się słowem „czolem”. Młodzież nie bardzo wie, co to znaczy, lecz starsi, a zwłaszcza kobiety doskonale to rozumieją, z rozrzewnieniem wspominając naszych kościuszkowców.

MOSKIEWSKIE WSPOMNIENIA

Zaczekajcie, zadziwonię, może ktoś odtworzy. Chciałabym, zaczynając wędrowkę szlakami Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, pokazać wam na początek miejsce, gdzieśmy się przed piętnastu laty w Moskwie spotykali.

Niestety, nikt nie otwiera. W mieszkaniu na drugim piętrze czynszowej kamienicy, stojącej na rogu ulicy Bolszaja Komsomolska i Woroszyńska (przepraszam, obecnie Bohdana Chmielnickiego) panuje cisza. Trudno. Nie mamy szczęścia. A zresztą, czy



rys. R. PROKULEWICZ

udałoby się nam odtworzyć pełny obraz tych tak dawno minionych czasów, odczuć atmosferę tamtych gorączkowych dni, przywołać na pamięć sylwetki tylu różnych ludzi?

Spróbujmy jednak.

Maria Dolińska najpierw była zaskoczona naszą wizytą. Po tylu latach odgrzebywać historię? Czyż czasy te nie poszły już w niepamięć? Swą działalność w Związku Patriotów Polskich zaczynała daleko od Moskwy, jeszcze w północnym Kazachstanie, w Pietropawłowsku. Była to praca ciężka, trudna.

— Pamiętacie — wspomina nasza rozmówczyni — było to zaraz po wyjeździe armii Andersa. Ludzie byli zorientowani i zawiedzeni. Część uważała, że racja jest po stronie Andersa, część zaś oceniała to jako ucieczkę i zdradę wobec Związku Radzieckiego. Trzeba było długo dyskutować. Umacnić. Tworzyliśmy w tym trudnym okresie wojennym coś w rodzaju świetlic, w których spotykali się Polacy, żarliwie dyskutowali i... skakali sobie do oczu.

Emigracja polska była rozrzucona po całym Kazachstanie. A to obszar niemały. Były olbrzymie trudności z transportem, z benzyną... Zawsze jednak dostawałam od towarzyszy radzieckich jakiegoś auta, co z ich strony było niemałym wyrzeczeniem — sami musieli chodzić po kilkanaście kilometrów pieszo. Nieraz miałam z tego

powodu wyrzuty sumienia. Ale zapewniali mnie, że w ogóle nie ma o czym mówić, bo mnie samochód jest bardziej potrzebny, bo oni, tańszej sobie poradzą.

Maria Dolińska mieszka obecnie w Moskwie, pracuje w redakcji „Literatura Radziecka”, poza tym dużo tłumaczy na język polski. Ukończyła uniwersytet w rodzinnym Łwowie. Rozmawiając z nami — choć to może brzmiało banalnie — była głęboko wzruszona tym, że pamiętaliśmy jej pracę w ZPP. Często powraca myślą do tamtych dni. Za każdym razem, kiedy miała dom przy ulicy Puszczańska 5, będący siedzibą Związku Patriotów Polskich, lub kamienicę, w której mieściło się „Obszczytje” — zwane przez Polaków — „Obce Zycie”...

Siedliśmy przy stole w mieszkaniu Babajewych: gospodarz, pułkownik w stanie spoczynku, ponad 40 lat przeszły w wojsku, córka, lekarz-pediatra, w czasie wojny walczyła na froncie. Trzecia osoba — to ta, dla której specjalnie odwiedziłam tę rodzinę. Elżbieta Babajewa. Elżbieta Babajewa, szeptuła, siwa kobieta, jest już obecnie emerytką. Chętnie opowiada o latach wojny.

— Wszywałyśmy sztandary dla gwardyjskich pułków. Pułki stale wysyłano na front. A jak można wysłać żołnierzy bez sztandaru? Żeby zdążyć, pracowaliśmy i w dzień i w nocy. Nieraz wykańczaliśmy sztandar w aucie, odwołując go

na dworzec. Pracowałyśmy w okrajonej Moskwie bez światła, o głodzie i chłodzie. Dostawaliśmy tylko z rzeźni miejskiej odwar z kości i to trzeba go było codziennie przywozić z daleka.

— Właśnie w tym okresie wspomina Babajewa — dostaliśmy zamówienie na sztandar dla Polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Powiedzieli mi: „Elżbieta Michajłowna, w twoje ręce oddajemy ten sztandar. Musi być pięknie wykonany, bo to dla Polaków”. Jak zwykle termin podali, jak to się mówi — na wczoraj. Skończyliśmy na czas, bo dziewczęta pracowały bez chwili odpoczynku, omalże bez snu. I właściwie to jest wszystko, co mogę wam opowiedzieć. Chyba nic w tym ciekawego dla zagranicznego dziennikarza.

— Aha — dodaje — pamiętam doskonale, było tam napisane: „Za naszą i waszą wolność”. Może wymawiam trochę nie tak jak trzeba, ale pamiętam, że trzeba było dobrze uważać przy wyszywaniu, bo przy wielu literach pełno było przecinków i ogonków.

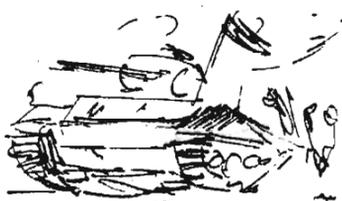
Elżbieta Babajewa bardzo się zdziwiła, że sztandar wyszywany przez moskwiżanki znajduje się dziś w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

JANINA TITKOW

DZIEJE

Adam Ważyk

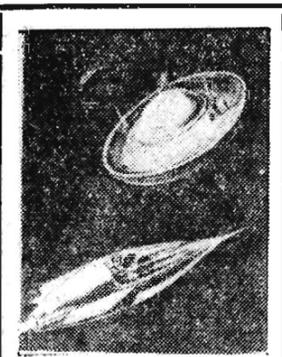
Ci, co zginęli w murach Warszawy,
Ci, co zginęli na Westerplatte,
ci dali życie nie za nic.
Ci, co polegli w śniegach Narwiku,
ci, co polegli w piaskach Tobruku,
ci nie polegli za nic.



Ci, co bronili murów Odessy,
ci, co bronili Sewastopola,
bronili siebie i nas.
Tam, gdzie się Wołga zbliża do Donu,
tam, gdzie się gruzi Stalingradu świecą,
tam ocalono nasz dom.



Ci, co wołali „mêrdé” w Bir-Hakeimie,
Ci, co topili statki w Tulonie,
dó tamtych byli podobni.
Ci, którzy niegdys padli w Madrycie
i którzy wzięli pierwszeństwo śmierci,
do wszystkich byli podobni.



Stacja przestrzenna (wielki sztuczny księżyc i rakietowa pasażerska niedalekiej przyszłości).

O sztucznych księżycu czytaj na str. 2.

Słów parę o kinofikacji

Kogo nie boli głowa?

Działalność naszych kin, to sprawa ciągle dyskusyjna. Nadal słyszy się utyskiwania i głosy krytyki, majace — trzeba przyznać — bardzo poważne uwarunkowania. Pomijam już w tej chwili kwestie repertuarowe — bo repertuar uległ ostatnio pewnej poprawie — chodzi mi przede wszystkim o rzecz równorzędnej natury. Dla przeciętnego zjadacza chleba, zainteresowanego filmem — a takich jest u nas więcej niż przed dwoma — trzema laty — problemem numer jeden stało się zdobycie biletu kinowego. Wiele spośród tych filmów, które cieszą się największym powodzeniem, ogląda niekiedy skromna tylko garstka szczęśliwców; tym udało się zdobyć miejsce na widowni.

Trzeba więc na wstępie powiedzieć, że sytuacja w zakresie rozpowszechniania filmów nie jest w kraju najszczęśliwsza. Pragnę posłużyć się paroma przykładami. Oto — na przykład — jeśli wskażnik miejsc kinowych na tysiąc mieszkańców wynosił dwa lata temu — 18,7, to w innych krajach, już w roku 1951, kształtował się znacznie wyżej. Wskaznik dla Węgier osiągnął we wspomnianym roku — 19, dla Bułgarii i Jugosławii — 22, Czechosłowacji — 50, Francji — 61.

NA WŁASNYM PODWÓRKU

Stąd wniosek, że pod względem organizacji sieci kin, a więc rozpowszechniania, ustępujemy znacznie innym krajom. Powody tego stanu znane są na ogół wszystkim. Nie wszystkim jednak znany jest fakt, że — jak wykazują statystyki — zaznacza się do tej pory tendencja obniżania tych wskaźników w miastach liczących powyżej 20 tys. mieszkańców, co następuje przy równoczesnym wzroście ilości miejsc kinowych na wsi i w małych miasteczkach, gdyż w latach ubiegłych położono nacisk na rozwój sieci kin na wsi.

W polityce rozpowszechniania filmów i — co z tym się wiąże — rozmieszczania kin, zauważę wyraźną poprawę. Dla polepszenia sytuacji, przeznaczono w planie 5-letnim 450 mln złotych, to jest trzykrotnie więcej niż wydatkowano na ten cel w sześciolatce. Prócz tego istnieją inne jeszcze możliwości — rezerwy w terenie.

Rezerwy te są istotnie często niedostrzegane, często stanowią rzecz, nie wiadomo dlaczego, niegodną zainteresowania. Dlatego też wiele spraw w terenie, które można by załatwić nieomal, że od ręki — nie może doczekać się rozwiązania. W dodatku bywa nawet, że pomoc z zewnątrz jest wprost odrzucana. Zresztą — by nie być gółośnym — w imieniu armii utyskujących, postaram się rozglądać po własnym podwórku.

Województwo rzeszowskie posiada 140 kin, z czego na wiejskie (stałe i półstałe) — przypada 82, a na ruchome 20. W miastach jest czynnych 38 kin. W I półroczu br. w seansach kinowych uczestniczyło 3.311.919 osób, chociaż plany przewidywały tylko 3.242.808 osób. Wymowny ów rekord osiągnięty został przy równoczesnym niewykonaniu planowanej liczby seansów; brakło ich do planu ponad 120.

Cyfry te świadczą po pierwsze, o ogromnym zainteresowaniu filmem, a po drugie — o trudnościach, które nie pozwalają na organizowanie koniecznej ilości seansów. To ostatnie niedomaganie wiąże się zarówno ze sprawą repertuaru, a więc dobór odpowiednich tytułów dla poszczególnych środowisk, jak i z trudnościami natury technicznej.

Mowa tu o pomieszczeniach kinowych. Województwo rzeszowskie nie dysponuje ta-

ką ilością kin (140 kin na 1 milion 551 tysięcy mieszkańców), która całkowicie zaspokajałaby potrzeby. Spora ich część wymaga bądź to poważnych remontów, bądź też pilnych uzupełnień. Stwarza to przykrą sytuację, którą najbardziej odczuwają rzesze odbiorców, zdanych w swoim, najczęściej małomiasteczkowym środowisku na tę jedyną rozrywkę. Dla czego więc zainteresowani społeczeństwa nie towarzyszy troską o dobre funkcjonowanie sieci kin?

OBOJETNOŚĆ NIEPOCIESZAJĄCA

Do Okręgowego Zarządu Kin można mieć wiele pretensji, nie tutaj jednak leżą zasadnicze przyczyny. Sprawa rozbiła się przede wszystkim o brak troski i zainteresowania władz terenowych gospodarką kinową. OZK dysponuje poważnymi funduszami na remonty i adaptacje budynków kinowych, ale w bardzo wielu wypadkach przeydają terenowych rad narodowych traktują te sprawy obojętnie, lub wręcz nie interesują się nimi. Ośmielam się twierdzić, że w województwie rzeszowskim nabiera o charakteru w poważnym stopniu masowego.

Oto przykład Strzyżowa. W czasie kwalifikowania obiektów kinowych w roku 1955, kino w Strzyżowie zostało wyjątkowo dopuszczone do eksploatacji, gdyż mieszkańcy tego miasteczka pozbawieni są innych rozrywek. Ponieważ jednak OZK zlecił wykonanie niezbędnego remontu i przeznaczył na ten cel 600 tys. zł, a remontu tego nie dokonano, Wojewódzka Komenda Straży Pożarnej ze względu na bezpieczeństwo publiczne zamknęła kino.

Efekt jest taki, że mieszkańcy nie mogą oglądać filmów, ponieważ MRN nie godzi się na wykonanie remontu. Tłumaczenia? Miasto pozabawiliby się największej sali do tańca...

W innej stronie województwa — w Krasiczynie, rozgrywa się podobna batalia. OZK przeznaczył na budowę kina 50 tys. zł, ale Gromadzka Rada Narodowa sprawą tą raczy się nie zajmować.

Od kilku miesięcy mimo przychylnego stosunku Prez. MRN w Jarosławiu, trwa sprawa załatwiania formalności związanych z uzyskaniem zgody na adaptację niszczonego „Domu Żołnierza” dla celów kinowych. Tu hamulec tkwi aż w stolicy. Tymczasem pieniądze jest aż nadto — w czołoci 3 mln zł, zaś do przeobra na 1958 r. — 1,8 tys. zł. W Przemyslu plany remontu kina „Baityk”, po długich pertraktacjach wejdą wreszcie w stadium realizacji. W Stalowej Woli zamknięto jedynne kino, ponieważ właściciel budynku kinowego robi tam nadbudówkę. Budowa nowego kina dla którego już w tej chwili skompletowano urzędzenia, trwa od roku 1954. I nie wiadomo jeszcze, kiedy ono zostanie oddane do użytku, chociaż stan budowy pozwalałby dokonać tego w trzy miesiące. DBOR, który jest inwestorem, do niedawna jeszcze nie orientował się, że to jego budowa...

A sprawa kina w Markowej, Stubnie, kina Baligrodu, Świlczy. Przykładów — co niemiara! Nie miejsce tu jednak, by o nich ze szczególną miarą mówić. Fakt pozostaje faktem. Nasze władze terenowe cechuje wyraźna obojętność. Wielu przydiomrad narodowych przyznano poważne limity pieniężne, niestety nic się w terenie nie robi. Z 80-groszowych dopłat do biletów w kinach wiejskich, zebrano półtoramilionowy fundusz; poważną jego część przeznaczono na remon-

Choć już od paru lat wy-czekiwaliśmy tej chwili, to przecież rewelacyjna wiadomość o wyrzuceniu sztucznego satelity w Związku Radzieckim zelektryzowała cały świat. Drugi księżyc, ciało niebieskie, zbudowane rekoma ludzkimi znalazło się na niebie gwiazd naturalnych.

Możliwość taką przewidział ćwierć tysiąclecia temu wielki fizyk angielski Newton, autor prawa o powszechnym ciężarciu. Siusność swego odkrycia uczony badał, obserwując i obliczając ruchy Księżyca. Już wtedy Newton wiedział, że Księżyc dla utrzymania się na swym kołowym torze ruchu dookoła Ziemi musi posiadać określoną prędkość, dzięki której powstaje siła odśrodkowa nie pozwalająca, żeby Księżyc spadł na Ziemię.

Takie samo prawo rządzi ruchem planet dookoła Słońca. A więc np. nasza Ziemia obiega je poruszając się po swej orbicie z prędkością około 30 kilometrów na sekundę.

O tych sprawach uczy nas fizyka i astronomia. Fizyka jest w zasadzie nauka, której większość praw albo zdobywa-

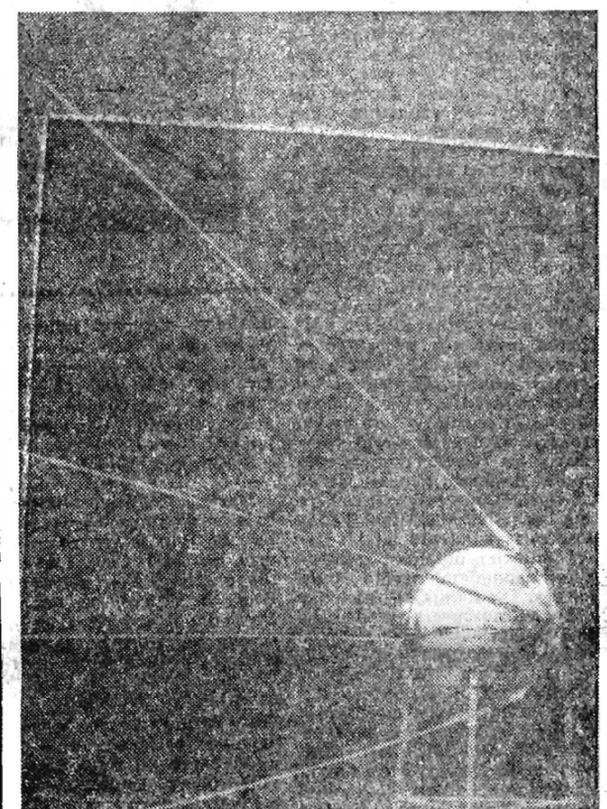
się, albo potwierdza za pomocą doświadczenia. Zaczął je przeszło 300 lat temu robić słynny Galileusz, rzucając kamyczki z krzywej wieży w Pizie, żeby zmierzyć czas ich spadku. Odkrycie Kopernika, obserwacje ruchu planet Keplera, kamyczki Galileusza — utworowały Newtonowi drogę do stwierdzenia prawa, że wszystkie ciała w przestrzeni przyciągają się siłami, które można obliczyć wedle jego prawa. A dowód tego prawa dostarczyły obserwacje Księżyca.

Wyrzucenie sztucznego satelity, żeby krążył dookoła Ziemi na prawach tych samych co Księżyc prawdziwy, jest pierwszym na świecie i to z miejsca — udalym doświad-

zeniem w dziedzinie astronomii. Dotychczas wierzyliśmy i wiedzieliśmy, że istnieje prawo powszechnego ciężarzenia we Wszechświecie. Na powierzchni Ziemi uczyły nas tego doświadczenia ziemskiego typu, ale na niebie gwiazd — eksperymentów czy nie nie mogliśmy. Dziś ten eksperyment stał się rzeczą dokonaną. Nie tylko wiemy i wierzymy, ale dziś już jesteśmy przekonani o prawdziwości zasad astronomii w dziedzinie mechaniki nieba.

Sztuczny satelita już krąży po niebie nad naszymi głowami, a ten fakt jest pierwszym wielkim triumfem na światłowo skalę trójdziesiąty wieczy i nauki-astronautyki, uczycej o prawach ruchu i lotu rakiet. Wzięła w nich udział i to jedna z pierwszych na świecie, także technika i nauka polska. Nie na darmo już w roku 1650 generał artylerii z czasów Władysława IV i Jana Kazimierza, światowej sławy pirotechnik i artylerzysta Kazimierz Siemienowicz wska-

zał swym następcom drogę do budowy rakiety wielostopniowej, dzięki której dziś, trzydziestu lat później, sztuczny satelita śmiga po niebie z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę. Nie na darmo generał Józef Bem, walczący o wolność „naszą i waszą” został ciężko ranny podczas wybuchu rakiety w warszawskim arsenale, podczas doświadczeń nad różnymi materiałami wybuchowymi do napędu rakiety. Powiecie może i Siemienowicz i Bem studiowali, obmyślali i doskonalili rakiety wojenne! Prawda niewątpliwa! Ale popatrzenie bez uprzedzenia na rozwój rakiety w ostatnich czasach. Wielki uczyony rosyjski polskiego pochodzenia Ciołkowski, ustanawia prawa ruchu rakiety w przestrzeni; Godard, Oberth, Esnault-Peiterie i setki innych uczonych i techników buduje modele, rachuje i pisze o rakiecie. Zapalone, pomylone głowy, mówią ogół — marzą o locie na Księżyc, o podboju Wszechświata!



Pierwszy sztuczny satelita Ziemi — dzieło uczonych i konstruktorów radzieckich.

(Dokończenie na str. 3)

Zza sceny

Rzeszów ma szczęście do zespołowych, a dla nas jedynie korzystnych „majazdów” braci artystycznej. Po gromadce aktorów łódzkich, z których paru ma już dzisiaj znane nazwiska, przybyła do Rzeszowa głośna Grupa 14 (plastyków), zaś przed paroma tygodniami osiadli tu po ukończeniu studiów skromny, ale nadzwyczaj sympatyczny zespół młodzieży aktorskiej z Katowic.

Gromadka katowicka pokazała się naszej publiczności w „Balu złodziejszkim”; właściwie pokazała się tylko część, bo postacie „Balu” stwarzają: Lidia Dzielworska, Jan Terasz i Aleksander Polek. Tę sympatyczną trójkę zastaliśmy w teatrze przed wieczornym spektaklem! tak się już bowiem w reporterce uwarło, że — jeśli krótka rozmowa z aktorami, to tylko na zaszczepie.

Gwoli ścisłości podamy, że panował tu już normalny, przed spektaklowy ruch. Janek Terasz siedział w głębokim krześle, przygotowany do wyjścia na scenę, a p. Lidia poprawiała uczesanie przed lustrem.

— Jak do tego doszło — pytamy — że przybyliście do nas w całej grupie?

— Po prostu, chcieliśmy razem pracować. Wybór padł na Rzeszów, no i pewnego dnia zjechaliśmy tu po spotu. Dzisiaj jak pan widzi, jesteśmy już po pierwszej rzeszowskiej premierze.

— Mówi pan, panie Janku: po pierwszej rzeszowskiej premierze. Zatem — nie są to wasze pierwsze kroki na scenie?

— I tak i nie. Niektórych z nas już w Katowicach angażowano w teatrze. Lidia np. występowała w Teatrze Śląskim i kabarecie młodzieżowym, występowała z dużym powodzeniem. Muszę panu dodać, że kolega Polek, wykonawca i jeden z organizatorów kabaretu młodzieżowego produkował się do niedawna w katowickim „Balu maneklinów” — Jasińskiego.

Rozmawiamy następnie o przedstawieniu rzeszowskim. Mówię, że publiczność rzeszowska przyjęła „start” młodych bardzo przychylnie. Oby tylko było tak dalej.

— A co przygotowuje teatr na najbliższy okres?

Mówi p. Lidia: — „Balladyna”. Obdzielono nas wszystkich. Ja mam rolę Chochlika.

— Poza „Balladyną” — wtrąca A. Polek — przygotowujemy, ale to już robi grupa katowicka — program o Gałczyńskim. Przygotowuje prof. Truszkowska z Katowic; nie chcieliśmy zrywać kontaktów z naszym dawnym środowiskiem. Mamy prócz tego nowe, jeszcze plany, na razie jednak nie mówmy za wiele. Za kulami gromadzą się już aktorzy. Ktoś mówi:

— Uwaga, proszę państwa! Zaczynamy. — Za chwilę hurtyna odsłania scenę. Bohaterowie są na planie.

Notatnik muzyczny

REFLEKSJE PO OSTATNIM KONCERCIE

Rzeszów 4. X. br. Drugi koncert Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej przyniósł przedziwną mozaikę utworów różnych kompozytorów. Były więc dwie uwertury St. Moniuszki do oper „Hrabina” i „Halka”, arie z op. „Verbum Nobile” i „Strasznego Dworu” (A. Hiolski), przetykane I (tylko) częścią suity „Romeo i Julia” S. Prokofiewa; fragmenty z baletu „Czerwony Mak” Gliera, aria z op. „Dama Pikowa” Czajkowskiego, a nawet kulepami Torreadora z „Carmen” Bizeta. Koncert zamykał „Kaprysta Hiszpański” R. Korsakowa, wykonany przez orkiestrę też nie w całości, z pewnych tam względów zapewne ważnych. Taki właśnie „cocktail” form i stylów muzycznych, mógł się podobać przeciętnemu słuchaczowi, który chociaż wyszedł z koncertu w rozkosznym oszołomieniu, zapewne jednak nie bardzo zdecydowany, jest-li to wyłączną zasługą występów solisty — A. Hiolskiego, czy też w równej mierze owego „tuftu” programu.

Je tylko A. Hiolski, który staje się dla publiczności celem koncertu, a nie wykonawca. Sprzyja temu pokazany program. Stanowi on dość datkową trudność dla orkiestry, która musi momentalnie przedstawiać się na inną technikę gry, inny styl wykonawczy (jeżeli zdaży go uchwycić). Wiemy, że sa trudności, że zdobyciem materiałów nutowych i brak czasu na przygotowanie orkiestry, skoro jeszcze pracuje na pół etacie, — ale specjalnie tu widzimy utrudnianie sobie problemu. „Gwoździem” programu był Hiolski — owacyjnie witany. W I części koncertu wykonał arie z op. Moniuszki. Nie ujmując znanemu artyście, były one niezbyt przekonujące, śpiewane „małym” głosem. Wrażenie to potęgowały jeszcze fatalne warunki akustyczne sali WDK (wojewódzkie miasto dotąd nie posiada przyzwoitej sali koncertowej). Dopiero II część koncertu przyniosła ożywienie. Wiece arie ks. Jeleckiego z „Damy Pikowej”; czuło się jakby atmosferę tej melodii i mądrość słów (piękne tłumaczenie polskie wg Puszkina) najlepiej odpowiadały artyście stylowo i psychicznie. Ciekawe, bo sam Hiolski nie lubił jej; śpiewał tylko na ubiegające prośby publiczności Rzeszowa. W tymże guście była „Modlitwa” Walentego z „Fausta” Gounoda (bis). Oracje Marcina z „Verbum Nobile” (bis) śpiewane były już z pewną werwą. Te, jak i aria Miecznika (I cz. koncertu) nie były najwznieściejsze w roli, z racji jowialności tekstu. Po arii z „Damy Pikowej” pragnęło się usłyszeć Hiolskiego jeszcze raz w rodzaju bardziej sub-

telnym. Cóż, okazuje się, że znów przeszkoda jest brak materiałów nutowych dla orkiestry do tych partii, które solista specjalnie chciałby wykonać. Trzeba się więc liczyć z nutami, nie z nastrojem. „Obiektywne przeszkody” decydują, że nasza orkiestra nie może osiągnąć tego, co jest w jej możliwościach: lepsze wykonawstwo i lepszy repertuar.

Starzy bywalcy widza znaczne podniesienie artystycznego poziomu zespołu. Nie mogę mimo to biernie ustosunkować się do dwu stałych zjawisk: skandaliczne detonowanie i gubienie się w rytmie I i II skrzypiec oraz fatalna barwa I klarнету, zwłaszcza, że technicznie stoi dobrze. Trzeba doraźnie temu zaradzić. Trudno też było pogodzić się z interpretacją Prokofiewa. Dwa rody włoskie — „Montesi i Capuletti” w śmiertelnej nienawiści; krwawa zemsta jest tutaj święta! — oto treść programu. W orkiestrze powinna brzmieć niesamowita groza, ledwie hamowana namiętność! A uszyliśmy my banal bez odrobiny temperamentu. Owszem, była groza, gdy fałszowały zwłaszcza smyczki. I ten ostatni akord, pożał się Boże! — dobił Montesich, Capulettich i nas samych. Ale skoro utwór jest za trudny nawet ze względów obiektywnych, trzeba tutaj chyba tylko zrezygnować z tej jedynaj części suity, na korzyść innej całości. Z pozostałych wykonań podobała się szczególnie uwertura do „Halki”, fragmenty z Gliera i R. Korsakowa. Na innym miejscu — o istotnych zasługach naszej orkiestry i trudnych warunkach pracy.

R. Józków

dokończenie na str. 3

Jan Bolesław Ożóg

POŚCIG

(Fragment opowieści pt. „Kula“)

Streszczenie:

Akcja opowieści rozgrywa się w Rzeszowskim, we wsi Nienadówka, w r. 1939, zatem w okresie największego nasilenia kryzysu gospodarczego. Stary organista wydzierzawia ogród na piebanii, aby za sprzedany owoc opłacić czynsze i stanąć dla swej córki Zosi uczennicy seminarium nauczycielskiego w Sandomierzu. Zosia podczas wakacji pilnuje ogrodu przed chłopakami, albo wychodzi w pole do sąsiedów, aby pomóc im przy robotach żniwnych. Pełny uroku podlotek staje się ośrodkiem zainteresowania kierownika szkoły, młodego grabarza Dobrzańskiego, przystojnego i wspaniałego synka kierownika szkoły Leszka, który się w niej zakochał po strzbieku. Drapała, posturkowy oddaje szereg strzałów. Uciekinierowi udaje się zbiec, ale kula przeznaczona dla niego trała w najniebezpieczniejszą pierś organistki. Powieść ukazuje się drukiem w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej (w I półroczu 1956 r.).

Przez pola biegnął Małec, policjant, z karabinem zdjętym z ramienia. Prawą ręką trzymał za zamek, a lewą pot ocierał, co chwila spychając daszki czapki na tył głowy.

Dzień ten nie należał do szczęśliwych dla załogi posterunku policji w Sokolowie. Z gmachu sądu grodzkiego uciekł przed godziną niespełna, najniebezpieczniejszy arezantant.

Nie był to złodziej. Ale posterunkowy Małec wolałby, że by to był złodziej. Niestety zbiegiem był arezantant polityczny i wszelkie dane wskazywały na to, że nie było jaka głowa.

Po rozruchach chłopskich w Ropczycy i koło Przeworska jakie miały miejsce niedawno, władze surowo nakazywały nie spuszczać z oka przewodników chłopskich, a oto taki właśnie niebezpieczny przewodnik, znany na całą okolicę, ucieka w jasny dzień przez więzienne okno.

Policjanci wypadli z gmachu posterunku za bożnicę miejską, gdzie według relacji strażnika więziennego wymknął się uciekinier, pedzili teraz na zbyty łeb miedzami pod miejskich pól i kieli na czym świat stoi.

Obiawa kierowała się w las. Tam, w kierunku Nienadówki „nawiewała” Drapała, po drodze mu było. Zaraz jak tylko wyskoczył z dziedzińca ze słabo niestety strzeżonego lochu, uciekał przez ogrody i parcele podmiejskie na las. Półkami go ścigali, i tam wpadł teraz.

Czterech posterunkowych pobiegło brzegiem lasu, dwóch skierowało się na pola Trzebunski, a Malcowi wypadło spantrolowanie wnętrza gaju.

Szedł przedko i drętwiał na myśl o spotkaniu oko w oko z Drapałą. Chłop był krępy i mocny jak cholera. Pamięta, skąd się nie chciał dać podczas areztowania, stawał o pór. Kiedy Małec właził do jego chaty, wieczorem to było, dróżnik wrócił dopiero z roboty, kolację jadł z babą. W ostatniej chwili, gdy skończył jeść, wymknął się chłapiem przez drzwi. Małec stanął w ano prosto w oczy i zagroził

piersiami drogę. Popchnął go Drapała, aż się pod piec zatoczył i gdyby nie bagnet na karabinie, który on przyłożył mu byskawicznie pod brzuch, kto wie, co by dalej było.

Tak rozmyślając, wesełił Małec na taką, karabin trzymając przed sobą w pogotowiu.

rzędem! Precz z sanacją! czy coś takiego. Niby, że Witos lepszy, widzieli? Dziwić się, że cała wieś poszła potem na Kolbuszową do pana starosty z lagami i widłami? Kto prowadził? Drapała prowadził. Szedł w pierwszym szeregu, o hańbo, dróżnik rządowy. Tak, byli tacy, co to widzieli. Kto wie, jakby się skończyło, gdyby nie posłiki policyjki z Rzeszowa. Zatrzymało się pałkami zbudowany motłoch, zatrzymało się przewodnika, i przewodnika — za kolierz do ciupy. Niech posiedzi...

Szedł Małec i mimo woli zaciskał pięść lewej, wolnej ręki. Obiewał go pot, pod mundurem, rozpiętym na wszystkie guziki czuł mokro, kleiły się mu do ciała koszula i kalety.

— Niech to szlag trafił! Na taki gorący pęd człowieku, jak pies po polach i lasach! — kłął w gios. — I gdzie ty chacie, leciś, gdzie? Do pracy ci się zachciało? Na gościniec?

zmiła ją nie ugryzła, a jego wcale się nie bała. To były chwile, tak! — westchnął i aż przystanął z wrażenia, łapiąc kurczowo za gałąź kruszyny. Stał chwilę tylko, bo nagle zdało mu się, że słyszy trzask galezi. Nadstawił ucha i drgnął. Nie, nie, to złudzenie, nie biegnę nikt.

Ruszył dalej. Potykał się o galezie i korzenie. Jakby zakwitły naraz jablonie na ramieniu, wszystko otwierało się w wspomnieniu, stawało w płomieniach żalu za tym, co odeszło bez powrotu... Pod choinką zieloną, zdaje się, o, jak by tam. Już tam za ścieżką. Siedli na zwalonym pniaku. A jak Andzia się dziwiła, gdy ją ujął za rękę! Całował ją, gdy żegnał się o zmierzchu. I już nigdy jej odtąd nie widział. Dawno zapomniał o tym, aż nagle teraz... Ciekawość, co się stało z nią? Zgrabna to była panienska, mądra, jak nie ze wsi... Szumi wiatr w galeziach brzeziny, szumi sobie, a on tu sam na odludziu, z karabinem w pogoni za wiatrem. Dokąd tak bieć i jak długo bieć? (C.d.n.)

JOSEPH CONRAD I JEGO „OCALENIE”

W stułetnią rocznicę urodzin Józefa Conrada, wielkiego angielskiego pisarza, ukazała się obecnie w świetnym przekładzie Anieli Zagórskiej jedna z najwybitniejszych jego powieści „Ocalenie”. Obok „Lorda Jima” i „Zwycięstwa” powieść ta najlepiej odtwarza oblicze duchowe pisarza, jego stosunek do życia, przyrody i człowieka ukazując w pełnym świetle jego zdolności twórcze i wielkość jako artysty.

„Ocalenie”, jak większość utworów Conrada, należy do powieści morskich i akcja jej odbywa się na płytkim morzu w wybrzeży tysiąca wielkich i małych wysp Archipelagu Malajskiego. Nie jest to powieść sensacyjna ani nawet w ścisłym znaczeniu egzotyczna, chociaż ukazuje nam odległe krajobrazy oraz życie dalekich i obcych ludzi. Conrada bowiem interesuje przede wszystkim człowiek, który wszędzie, pod każdym niebem jednakowo żyje i cierpi oraz doznaje tych samych rozczarowań: żłudzeń, radości i smutków.

Właśnie w „Ocaleniu” poznajemy mieszkańców tych dalekich ziem, plemiona malajskie, walczące niegdyś przeciw Portugalczykom, Hiszpanom, Holendrom i Anglikom. Z czasem ulegli przemocy i kraj ich — jak czytamy w powieści — z ładu i wody złożony stał się lupem zachodniej rasy jako nagroda za większą siłę, jeśli nie za wyższą moralność.

Przedstawicielem kolonializmu tak ostro krytykowanego przez Conrada jest Anglik, pan Travers, który powołując się na traktaty oddające wybrzeże pod wyłączny protektorat białych z cynizmem stwierdza wyższość rasy białej nad Malajami oraz konieczność ich zagłady.

Podając surowemu osadowi misję białego człowieka na tych dalekich ziemiach nie zapomina jednak Conrad o nieznanym przedstawicielach rasy białej, awanturkach i biednych rycerzach, którzy nie tylko żyli w serdecznej przyjaźni z malajskimi plemionami, ale także dla ich sprawy, której nie wolno było istnieć w obliczu „nieubłaganego i zorganizowanego postępu” roztrwonili i poświęcili swe życie.

Jednym z takich szaleńców i romantyków w powieści Conrada jest główny jej bohater, kapitan Lingard, właściciel angielskiego brygu „Błyskawica”, dla swych zalet uwielbiany i szanowany przez krajowców i w dowód ich uznania nazwany „Królem Tomem”. W czasie wyprawy do Nowej Gwinei Lingard zapoznał się z młodym księciem Pata Hassimem, bratankiem jednego z największych wodzów plemienia Wajo. Książę Hassim uratował Lingardowi życie, a ten w imię zawartej przyjaźni i wdzięczności przyrzekł mu odzyskanie i wprowadzenie do ojczyzny, która Hassim po stoletniej walce ze swymi przeciwnikami musiał opuścić.

Przyrzeczenia danego Hassimowi i jego uroczę siostrze Immadzie Lingard nie dotrzymał, gdyż stanęło temu na przeszkodzie przypadkowe zjawienie się i osadzenie na mieścinie angielskiego jachtu, z którego krajowcy porwali dwóch białych, owego pana Traversa i Hiszpana d'Alcacerę. W związku z tym wydarzeniem cały wysiłek Lingarda zmierział obecnie i u temu, by uratować od śmierci nieszczęśliwych, co mu się ostatecznie udało przy pomocy Edyty Travers, która ze swym mężem przybyła na jacht.

Lingard ocalił więc białych ale nie dotrzymał słowa danego Hassimowi i Immadzie, którzy zginęli na statku wysadzonym w powietrze przez przyjaciela Lingarda, Jürgensena, w czasie jego pertraktacji z krajowcami. A chociaż po katastrofie na statku nikt z żyjących nie wiedział o zamiarach Lingarda i obowiązku ważności łączących go z Hassimem i Immadą, a głębi jego przywiązania do tych lu-

dzi, Lingard zalał się zupełnie. Był już tylko trupem dawnego człowieka, gdyż w grobie przyjaciół pogrzebał wszystkie swoje porwy, całą wielkość swojej legendy i majestat „Króla Toma”.

Conrad kilkakrotnie w powieści używa słowa „romantyczny” i romantyką nazywa Lingarda. Jest to romantyzm nowoczesny, zrationalizowany, który ani nie ucieka od rzeczywistości, ani nie przedstawia nadludzkiego bohaterstwa, ale zwykłych ludzi podciąga na linie bohaterstwa i wielkości. „Cóż z tego — mówi o Lingardzie Conrad — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.

I los sprawia, że u schyłku swych dażeń Lingard poznaje Edytę Travers. O ile maż jej jest młodszy, a ona — że opowiadający był tylko obłądnym marynarzem, królestwo — dzungla, a ludzie mieszkający lasów, o których nikt nie słyszał. Wielkość idei opanowała prosta dusza tego człowieka; nie było nic niskiego w jego płomiennych porwach”. Bo też Lingard, ten prosty zdawałoby się człowiek, nie był przeciętnym. Był zdolnym do przestępstw, poświęceń, uwielbienia, kłikłości i skłupionego szaleństwa.



rys. J. SIENKIEWICZ

Drugi Księżyc krąży nad nami

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Przychodzi druga wojna światowa. Powstaje rakietowa wojenna V-2. Niemcy budują i wyrzucają setki rakiet. Astro nautyka zbiera doświadczenia. Po wojnie i ZSRR i USA doskonala i rozwijają broń rakietową. A równocześnie astronauta podwajają i potrajają wysiłki w celu zainteresowania rządów wielkich mocarstw sprawą i perspektywami rozwoju rakiet. Wyrzuca się wielkie, 100-tonowe polski międzykontynentalne, zbliżające się już swą prędkością do satelitarnej. Gestia rozwoju rakiety z ręką jej fanatyków o pustych kieszeniach choć gorących sercach i mądrych głowach, przechodzi nareszcie we właściwe ręce. Zabierają się do rakiet rządów wielkich mocarstw. Doświadczenia zdobyte na rakietach wojennych nie idą na marne.

I oto dożyjemy triumfu idei rakiet pokojowej. W ramach gigantycznej imprezy naukowej, jaką jest Międzynarodowy Rok Geofizyczny 1957/58, dzieło setek tysięcy uczonych i techników licznych pokoleń i wielu narodów, zostało zrealizowane: pierwszy sztuczny satelita krąży dookoła Ziemi.

Pierwszy sztuczny satelita jest niewielki rozmiarami. Jednakże fakt, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości pojawił się na niebie twór rak i rozum ludzkiego jest dla kultury naszego świata tak wielki i znamienny, iż niezawodnie można uważać go za inaugurację epoki astronautyki, za wstęp do podboju przestrzeni kosmicznej przez człowieka, do tychczas przytulę do Ziemi kajdanami grawitacji.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

Po jaką cholere w tapy mu lazi? Nie mógł lobuz siedzieć spokojnie? Pensję brał, jeszcze źle mu było?

Tak dróżnik był ludowcem, zaciekiym ludowcem. Wiedzano na posterunku dokładnie, co Drapała nawyrabiał w ostatnim roku. Bo mało, że za czął sobie pocztą sprowadzać gazety i dawał to do czytania chłopom, jeszcze na domiar złego „Wici” we wsi zorganizować próbował. „Wici”, lewicową organizację, słyszane rzeczy! No, nie dziwota, że kiedy w maju rozruchy chłopskie się zaczęły, właśnie z Nienadówki chłopci najpierw głowę podnieśli. Doniosł wójt: tak i tak, u Drapały po nocach stałe narady i krzyki: „Precz z

Już cię musieli dawno spensjonować. Torbę ci nawet odbiorą i dzagan. Dorobiłeś się, bolszewiku! Ach, zebym ja cię w garście złapał...

Od lasu dzieliło go już tylko kilka kroków i teraz Małec z ulgą odetchnął. Przypomniał sobie, że w lesie dawno, dawno nie był. Chyba z pięć lat już. Tak, to było zaraz jak z wojska wyszedł, jeszcze za cywila. W Nisku u rodziców. Namówiła go, pamięta, jedna tam na ten lasek, kława faletka. No, las oczywiście na Moskalach, Moskale się nazywa pierusza za Niskiem wioską w lesie. W ten dzień wyszedł sobie za miasto na spacer. Widzi, idzie przed nim panienska jakaś i ogląda się. O czy ładne, figura zgrabna. Dogonił dziewczynę. „W jedną stronę idziemy, pozwól pani? Dołącz się”. — „Proszę bardzo”. — „Pewnie do lasu?”. — „A do lasu?”. — „Boi się pan lasu?”. — „Ja? Lasu?!” Poszedł z nią między drzewa i nawet za las. Prowadził ją na ostatku nawet już pod ramię. Tylko gdy wracał, a ciemno było, ktoś w lesie trzasnął go z tyłu kamieniem. Odtąd już noga jego na Moskale nie postąpiła...

Nogi bolaty go, i na dobitkę złego potknął się nagle butem o kamień. Pełno zawsze kamie ni gdzie się schodzi z łąk w las.

Sycząc ze złości właził wreszcie w zagajniki.

Wsunął się w nieznaną to zinę, ocierał się o nieznanome galezie cień ściełacie i chłód błogi, przebłogi. Wiatrem sia ne sosenki i świerki i brzozy, niewiększe wzrostem w tym miejscu od kóp siana przypomniały mu zrab na Moskalach.

Pomagał, pamięta, nadziewać tam Andzi, tak było dzie wczynie, porzoczyły gdy już weszła w las i on sam bućki jej sznurował. Bała się, żeby

Kogo nie boli głowa?

dokonanie ze str. 2

ty kin, adaptację itp. prace, ale władz terenowych sprawa ta nie zawsze interesuje.

MOŻE BYĆ INACZEJ?

Sytuacja w tym zakresie powinna w najbliższym czasie ulec zmianie. Dysponuje się większymi niż do tej pory funduszami, (jedno z najnowszych kin będzie mieć po remoncie np. Rudnik), inne znowu, po remoncie, będą zdolne, bardziej niż dotąd, zaspokoić potrzeby swoich środowisk. Piszą: powinna ulec zmianie. Powinna, jeśli sprawa rozwoju placówek kinowych interesować będzie nie tylko tych, którzy wykładają pieniądze.

Tak wiele mówi się w ostatnim czasie o problemach naszej kultury, demoralizacji i plijaństwie. Zapominamy

często, że proste formy działalności rozrywkowej, stanowiąc mogą wielką pomoc. Zdevaluowanemu pojęciu rezerwy przywróci się konkretnych kształtów, jeśli sprawą troszczyć się będą tylko jednostki zajmujące się nią jedynie z urzędu.

Sytuację sprowadzić można do stwierdzeń:

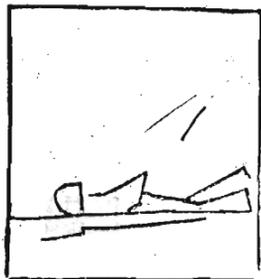
1. Organizacja rozpowszechniania filmów posiada sporo mankamentów, z powodu małej ilości sal kinowych w pełni przystosowanych do eksploatacji.
2. Kredyty na remonty nie są wykorzystywane. Właźce terenowe, szczególnie przyjaciele rad narodowych, wykazują brak zainteresowania sprawami rozwoju kin, bądź też wręcz utrudniają przeprowadzanie niezbędnych prac.
3. Niestety, poza OZK nie ma nikogo, kto by usiłował przełamać mur obojętności i trudności.

K. B.

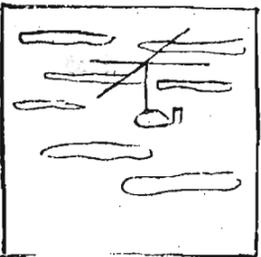
● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ●

Spocznij!...
można palić

rys. J. SIENKIEWICZ



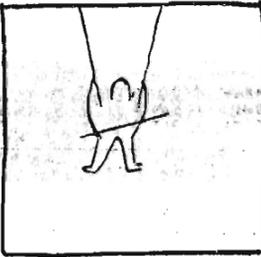
łupiód



helikopter w chmurach



kawaleria



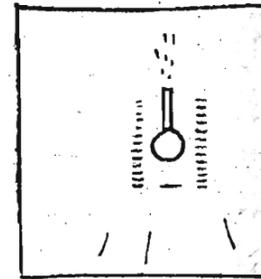
desant



żołnierz na warcie



pijwante z granałem



człoz z letu płaka

TO JOWO

CIEKAWA AUDYCJĘ poetycką p. „Ballady rzeszowskie” nadała w ub. niedzielę Rozgłośnia Polskiego Radia w Rzeszowie. Audycję opracowano na podstawie tomiku wierszy Mirona Białoszewskiego — „Obroty rzeczy”. Usłyszeliśmy „Barbarę z Haczowa”, „Balladę o Krośnie”, i „Pieśń na Binnrową”.

PO WIADOMOŚCIACH o smokach i potworach, modnych w okresie kanikuly, przyszedł w tygodnikach czas insruowania czytelników. Jak poznawać ludzkie charaktery przy pomocy szerokiech palców, wąskich stóp i sposobu ich układania W otwch „studiach charakterologicznych” specjalizuje się ostatnio warszawski „Świat” i śląska „Panorama”.

Stopy? W porządku! Palce? Jak najbardziej! Ale dlaczego nikt do tej pory nie zabrał się w czasopismach do tłumaczenia snów?

WRESZCIE COŚ o Towarzystwie Teatrów i Chórów Ludowych. Z Ustrzyk donoszą, że powołano tam ostatnio pierwszy oddział powiatowy Towarzystwa. Dowiadujemy się również, że działacze Krosna przygotowują zjazd dla powołania oddziału powiatowego.

W LONDYNIE zmarła nagle w wieku 36 lat Helena (Ena) Halama—Hallett, najmłodsza z trzech siostr Halama. popularnych w okresie międzywojennym tancererek polskich. Kłora po wyjściu za mąż porzuciła karierę artystyczną.

ZNANY amerykański impresario p. Hurok pertraktuje o sprowadzenie jesienią 1958 roku polskiego kilku nastosobowego zespołu baletowego. Propozycja jest pod względem materialnym korzystna. Nie trzeba też uzasadniać wielkiego znaczenia propagandowego i artystycznego występów naszych wubitnych tancerzy w Stanach Zjednoczonych. Tacy artyści, jak Barbara Bittnerówna, Olga Sawicka, Maria Kraszkowska, Liliana Wolska, Irena Cieślakówna, Konrad Drzewiecki, Witold Gruca, Władysław Milon, Bogdan Bulder, Stanisław Szymański, Zbigniew Strzałkowski na pewno nie przyniosą nam wstydu.

„Abstynenci”

(Fragment powieści „Przygody dobrego wojaka Szwejka”)

Podporucznik Dub wezwał Szwejka, żeby mu towarzyszył kawałek drogi, bo ma go o coś zapytać. Kiedy oddalili się od restry żołnierzy, rzekli do niego bardzo niepewnym głosem:

— A czy nie rozmawialiście o mnie?

— Bynajmniej, panie lejtnant, nic podobnego, tylko rozmawialiśmy o kwasie cytrynowym i o mięsie wędzonym.

— Oberlejtant Łukasz mówił mi, że niby coś wybrałem, a wy Szwejku, macie o tym jakoby wiedzieć.

Szwejk z wielką powagą i z naciśnięciem odpowiedział:

— Nic takiego pan nie wybrał, panie lejtnant, był pan tylko z wizytą w pewnym domu rozpusty. Ale to musiało być przez pomyłkę. Błacharza Pimpra z Kozłozno Placyku też zawsze musieli szukać, gdy wybierał się do miasta po białe i znajdował go w takim samym lokalu albo „U Szulców”, albo „U Dworzaków”, jak ja znalazłem pana lejtnanta. Na dole była kawiarnia, a na górze w naszym przypadku były dziewczyny. Pan lejtnant widąc nie bardzo się orientował, gdzie się znajduje, ponieważ było bardzo gorąco, a gdy człowiek nie jest przyzwyczajony do picia, to przy takim gorącu upije się nawet zwykłym arakiem, nie tylko jarzębikiem jak pan, panie lejtnant. Więc otrzymałem rozkaz wzięcia pana zaproszenia na konferencję, która miała się odbyć przed wyruszeniem w pole, no i znalazłem pana podporucznika u tej dziewczyny na górze. Skutkiem tego gorąca i tego jarzębika pan mnie wcale nie poznał i leżał pan tam na kanapie rozbrany. Wcale pan tam nie nie

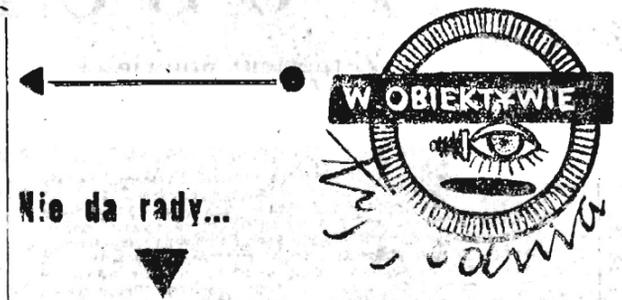
wybrał i nie mówił pan: „Wy mnie jeszcze nie znacie”. Taka rzecz może się przytrafić każdemu, gdy jest tak gorąco. Niejednaki lata za takimi przygodami jak opętany, drugiemu przytrafił się taka rzecz jak ślepiej kurze ziarno. Gdyby pan był znał, panie lejtnant, starego Vejvode połamajstrzego, to by pan wiedział, co się może stać człowiekowi na tym świecie. Postanowił on mianowicie, że nie będzie używał żadnych napojów, którymi można się upić. Więc kazał sobie nalać jeszcze jednego na drogę i ruszył w świat na poszukiwanie tych napojów bez alkoholu. Najpierw zatrzymał się w gospodzie „Na Przystanku”, kazał sobie podać ćwiarteczkę wermutu i nieznacznie zaczął przepytować gospodarza, co też pijać ci niby abstynenci. Całkiem słuszenie wyrozumował, że czysta woda byłaby nawet dla abstynentów napojem okrutnym. Gospodarz wytłumaczył mu wtedy, że abstynenci piją wodę sodową, limoniadę, mleko, a następnie wina bez alkoholu, napoje chłodzące i podobne rzeczy czyste. Z tego wszystkiego najbardziej przemówiły do przekonania tego Vejvody owe wina bez alkoholu. Zapytał potem, czy istnieją wódki bez alkoholu, wypił jeszcze jedną ćwiarteczkę, porozmawiał z gospodarzem o tym, że to doprawdy grzech schlać się zbyt często, na co gospodarz mu odpowiedział, że wszystko wina bez alkoholu potrafi, tylko nie pijane człowiekiem, który uchla się. Bóg wie gdzie i do niego przyjdzie wyrzucić przy flaszkach wody sodowej i jeszcze zrobi piekło.

„Schlaj się u mnie — powiada

Fotoreporter w spódnicy



Maurice Cloche w filmie pt. „To również Paryż” wykazuje, że miasto rozrywki jest przede wszystkim miastem pracy. Film przedstawi zabawną przygodę fotoreportera w spódnicy. „Lowce zdjęć” gra uroczą Marie - Helene Arnaut.



Nie skusisz mnie nawet kładką pięknych winogron... CAF

● Nie trudno zgadnąć ●

KRZYŻÓWKA
nadesłał Michał Walczak z Gorlic

3x3 grid with numbers 1-34 and some cells containing symbols like a circle with a dot.

Poziomo: 1. może być na łóżko, 5. narzędzie kuchenne, 10. miasto nad M. Czarnym, 12. następstwo wina, 13. może być pieniędzy, 16. symbol chem. telluru, 17. urządzienie do gry hazardowej, 19. postać z czasu okupacji, 20. Matka Zeusa, 21. oprawca, 22. domowy duch opiekuńczy u Rzymian, 24. rasa owcy, 25. symbol chem. erbu, 27. imię z elementarza, 28. działo, 30. dama, 32. słodkie słowo, grzeszność, 33. szturm, 34. wyspa w grupie Cykladów na morzu Egejskim.

ŁAMIGŁÓWKA ARYMETYCZNA
Proszę spróbować podzielić liczbę 30 na takie trzy nierówne części, by pierwsza z nich podzielona przez 3, druga pomnożona przez 2, a trzecia podzielona przez 1,5 — dały te same wyniki.
Za trafne rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział Redakcji „Nowin Rzeszowskich” w Przemysłu, ul. Waryńskiego 15 (KP PZPR) z dopiskiem „Rozrywki umysłowe”, przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony ksązkowe).

ROZWIĄZANIA I NAGRODY
Nr 32 (376)
Clągówka dwukierunkowa: „Radosne dożynki” (Artur, Pekin, Anin, ale, barak, moda, tam, aromat, Omar, ona lok, aktor, Eis, popas, Ararat, sos, karton, kot, zart, sad, rosa, satura, rafa, ryż).
Zagadka: „barok — korab”.
Kalambur: „Malwa” (ma lwa).
Nagrody wylosowali: I. Tadeusz Skóra — Mielec-Osiedle, II. Teresa Jaksan — Rzeszów, III. Stefania Błńska — Zielona Góra.
Ob. Jerzego Jaworowskiego z Rzeszowa prosimy o podanie właściwego adresu, gdyż nagroda wysłana pod podanym adresem została przez pocztę zwrócona.

● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ● drobiazgi ● miniaturki ●